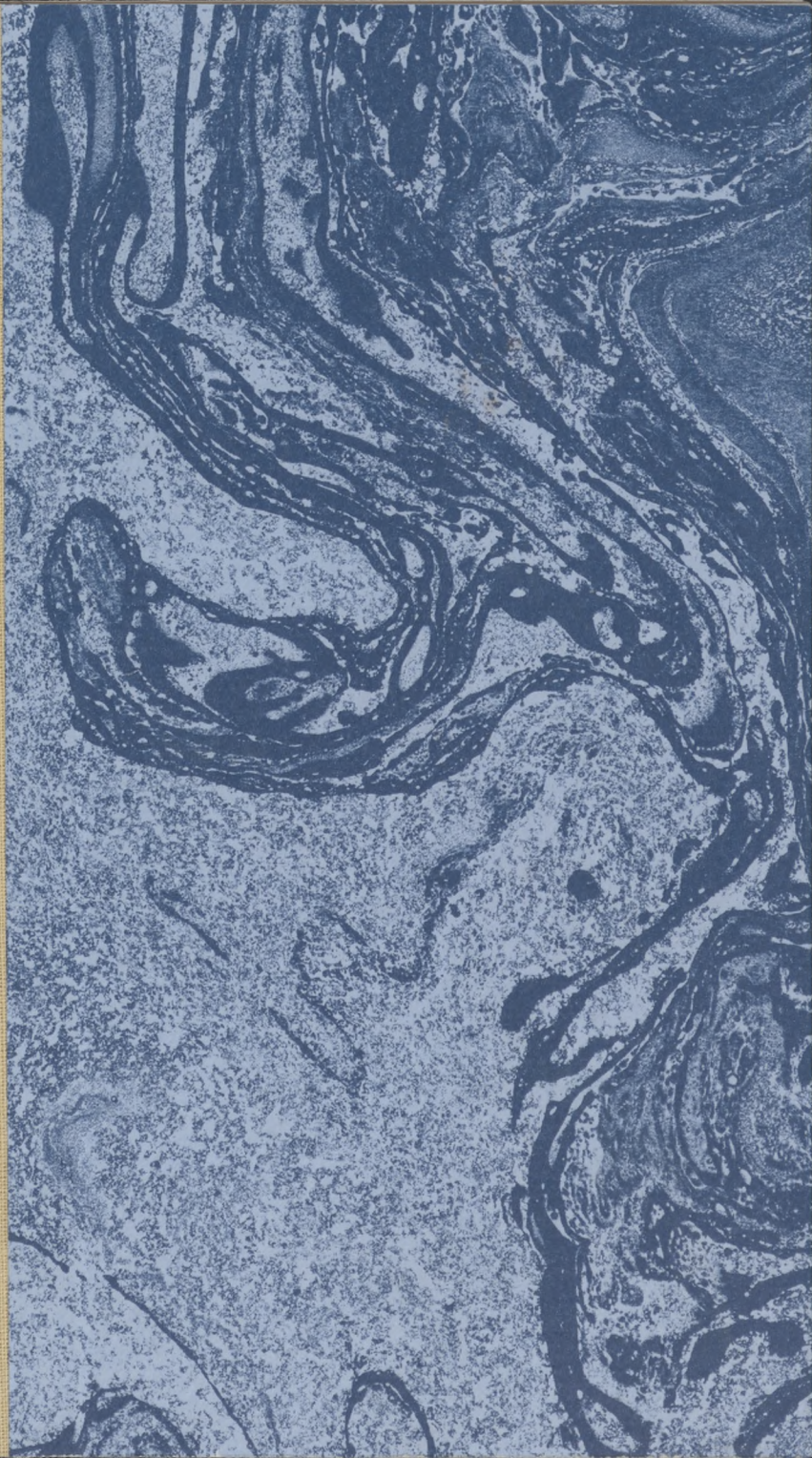
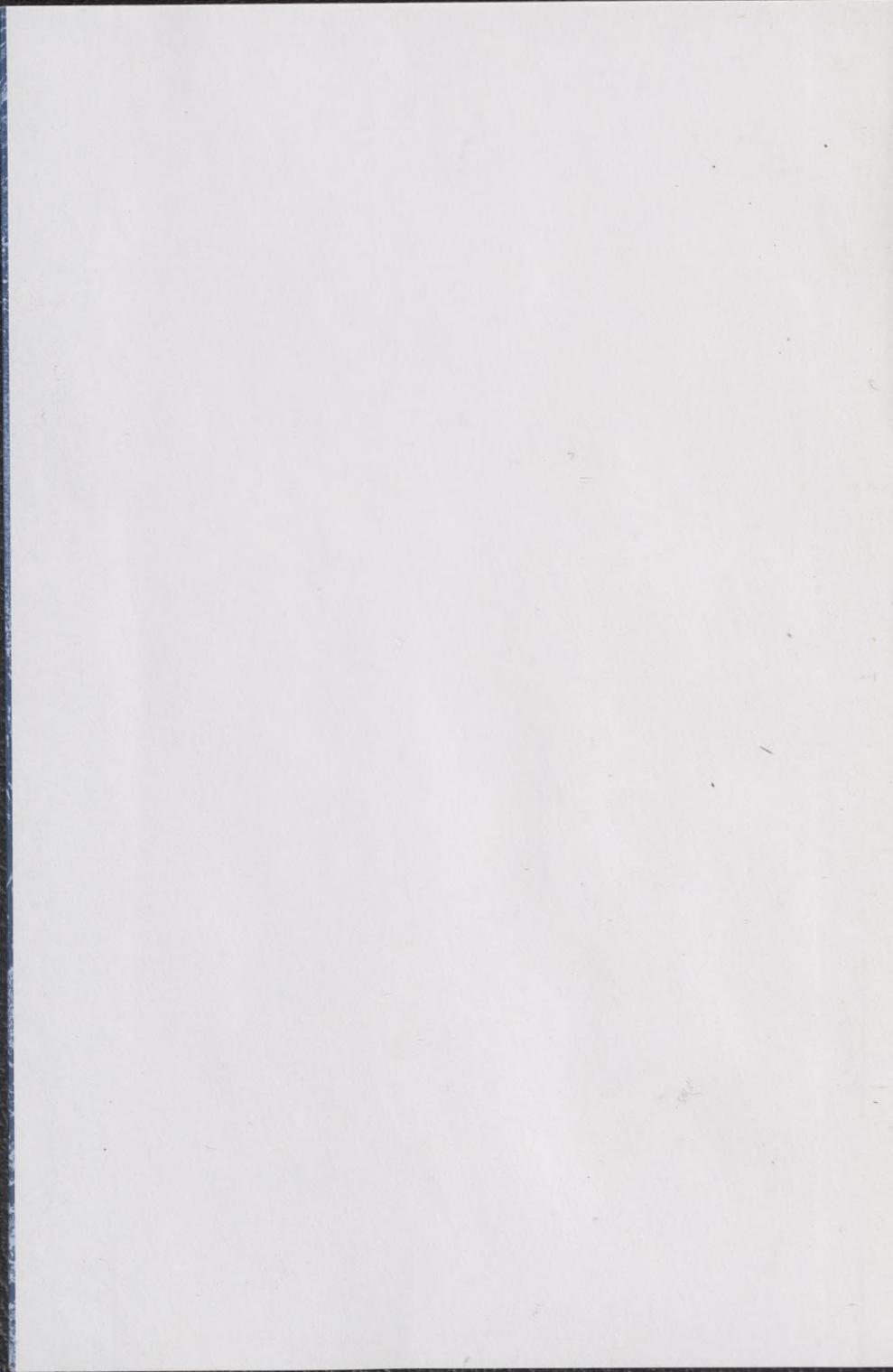


1514575







1514.575

HELENA STAS.

Marzenie  

czy Rzeczywistość

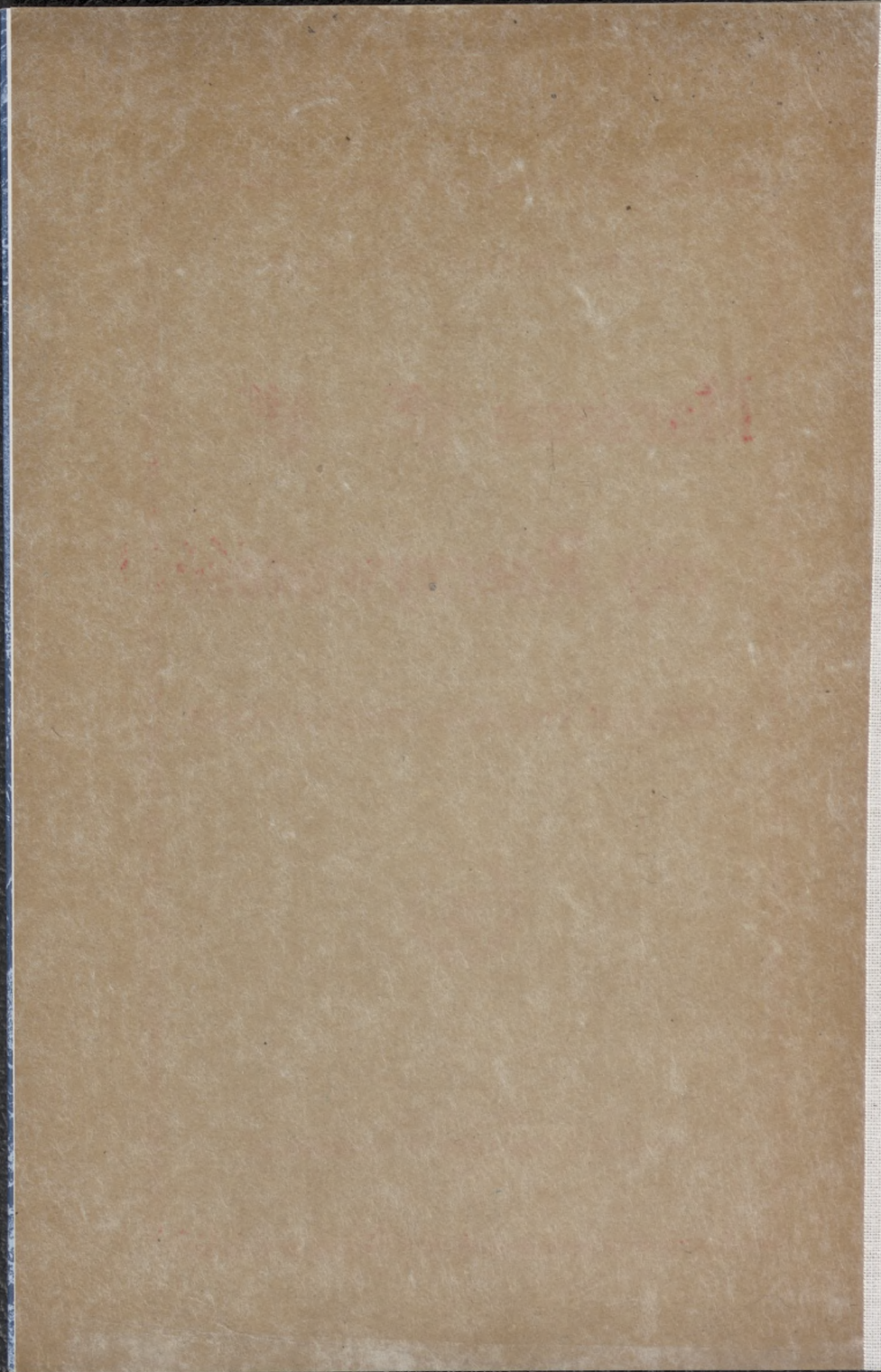
OBRAZEK POLSKO-AMERYKAŃSKI.





CHICAGO, ILL.

Drukiem i Nakładem W. Dyniewicza.

1907.



HELENA STAS.

Marzenie  

czy Rzeczywistość

OBRAZEK POLSKO-AMERYKAŃSKI.



CHICAGO, ILL.

Drukiem i Nakładem W. Dyniewiczza.

1907.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

II 7.514.545

1991 K 1110/478

Sliczny, majowy poranek. Jeden z tych cudnych, tajemniczo uroczych, nęcących, a tyle jeszcze obiecujących, pierwszy z tych, który po raz pierwszy aczkolwiek nieśmiało odkrywa oczom naszych piękno natury.

Budzi się ziemia z letargu, a rozpękłemi tu i ówdzie pączkami zapowiada czar otwierającego się życia, które już w pierwszych dniach maja podziwiać trzeba.

Mały dworek, a raczej willa, położona na przedmieściu Kalisza, tonie w krzaczkach bzu i jaśminu. Kilka drzew, otaczających dworek dookoła, konarami swemi zasłaniają go latem od upału słonecznego, jesienią od wicherów i burz. Słowiki założyły na nich swe siedlisko i co rok wywodzą swym szczególnym, a tak porywającym głosem swe trele.

Nęcący zapach rozwijających się kwiatów, pociągający śpiew słowika, kilka doniczek niezwykłych roślin, ustawionych z gustem na ganuku, czystość dworku, zwracała uwagę przechodnia i nasuwają myśl, jak miło i błogo musi płynąć mieszkańcom życie.

Istotnie państwo Kęszyccy czuli się bardzo zadowoleni.

Po utracie mająteczku ziemskiego, jaki mieli w Radomskiem, zebrali jeszcze kilkanaście ty-

sięcy rubli, przybyli do Kalisza, kupili ten dworek, resztę pieniędzy ulokowali na hypotekach, a że byli ludźmi, przestającymi na małym, czuli się z tego, co mieli zadowoleni, tem więcej, że stratę majątkową zastąpiło przybycie dziecka, na które czekali lat dziesięć.

Państwo Kęszyccy oboje byli pochodzenia szlacheckiego. Jakkolwiek nie należeli do tych, co chętnie się, lubią co chwilę przypominać swe arystokratyczne pochodzenie, to jednak wierni tradycjom rodzinnym, przechowywali je na dnie duszy; nie mogąc wyższości okazywać przepychem na zewnątrz, starali się to “wyższe” coś, odziedziczone po przodkach, pielęgnować i zachować na wewnątrz.

Byli to ludzie przejściowi, u których końcówka “szlacheic” zamieniła się na “szlachezny”.

Ośmnaście już lat mieszkają w tym rozkośnym zakątku. Ośmnaście już razy witają i podziwiają śpiew słowika — kwiaty bzu i jaśminu. Tu urodziła się ich córka. I ona to głównie dodaje czaru i uroku otaczającej dworek przyrodzie. Przy każdym drzewie, przy każdej gałązce, każdym krzewie jest jakieś wspomnienie związane z nią. Tu przy tem krzewie powiedziała pierwszy raz “bez” — tamten krzak róży sama zasadziła, pod tem drzewem najlepiej uczyła się lekyi, wszędzie ona... ta ukochana jedynaczka.

Owego majowego poranku, gdy nasza powieść się rozpoczyna, widzimy państwa Kęszyckich stojących na ganku, napawających się

świeżem wiosennem powietrzem i patrzących z lubością na pyszną zieleń do koła.

Pociągnięci rozpękującymi pączkami bzu i jaśminu, zeszli z ganku do ogrodu, by z bliska podziwiać piękność ukochanych ich krzewów.

Byli to ludzie mniej więcej pięćdziesięcioletni. On wysoki, tęgiej budowy, szpakowaty już o czarnych, rozumnych oczach i dobrodusznym wyrazie twarzy. Ona raczej drobna, aczkolwiek pełna — w ruchach miała coś tak ujmującego, że nie chciałoby się stracić żadnego jej poruszenia. Twarz jej rumiana, pogodna, to też sądząc z wyglądu nie można jej było liczyć więcej, po nad lat czterdzieści.

Oglądając krzewy i kwiaty, państwo Kęszyccy co chwila zwracali wzrok na dworek, oczekując wyjścia jedynaczki. Dziwili się jej opóźnieniu, a pani Kęszycka wyrażała obawy, czy tylko Wandzia nie jest cierpiącą, gdyż od niejakiego czasu posmutniała i nie jest tak swobodną, jak przedtem.

Pan Kęszycki, widocznie bardziej przewidujący, zrobił uwagę, że dziewczyna liczy blisko ośmnaście lat, może się więc w kim zakochała.

Pani Kęszycka oburzyła się, ale wreszcie zaczęła wyliczać nazwiska młodych mężczyzn, którzy u nich bywali. Po dokładnem rozpatrzeniu, wypadło, że w żadnym z tych Wandzia kochać się nie może, gdyż wszystkich jednakowo traktuje. Wszedłszy na ten temat, zaczęli sobie przypominać różne małe zdarzenia, któreby ich

na jaki domysł naprowadziły. Nic nie odkryli, lecz oboje zgodzili się na to, że Wandzia zmieniła się od wieczorku, danego u aptekarstwa B., w ostatnim karnawale. Lecz i z tych, co tam byli, trudno było rodzicom Wandzi przypuścić, aby który mógł zabrać spokój ich dziecka.

Koniec końcem postanowili ją wybadać.

Prawie gdy decyzya ta stanęła, Wandzia wyszła z domu, a spostrzegłszy rodziców spacerujących — zeszła z ganku, by spotkać się z nimi.

Jakkolwiek wiosna była w pełni, widząc Wandzię, trzeba było wierzyć, że ona dopiero dodała jej pełnego uroku. Patrząc na to dziewczę i ten rozkwit natury, nie wiadomo, której należało oddać pierwszeństwo. Wandzia była u-sposobieniem wiosny. Blondynka o pięknych długich włosach, które w porannej godzinie ujęte tylko grzebykiem spadały swobodnie na ramiona, — wyglądała, jak marzenie poety. Oczy lazurowe, policzki różowe, dopełniały całości. Była uosobnieniem i wiosny i jutrzeńki na niebie. W ruchach jej, podobnie, jak u matki było coś tak pociągającego i uderzającego — że chciało się na nią patrzeć i patrzeć bez końca. . .

Idąc naprzeciw rodziców, zerwała po drodze gałązkę bzu, ozdobiła nią swą ranną, białą sukienkę i jeszcze więcej była podobną rozkwitającemu kwiatu wiosennemu.

Starzy z zachwytem patrzyli na zbliżające się dziecko, a gdy całowała ich na dzień dobry, tulili ją do siebie, jak skarb najdroższy. Z troskliwością matka pytała, czy czuje się zdrowa, a

dreńczona przypuszczeniem, że dziecko to może jej zabrać ktoś inny — postanowiła od razu ją wybadać. Pociągnęła ją na ławeczkę, usadziła w środku, a wtedy serdecznemi słowy nalegali oboje, by powiedziała im, co jej dolega.

Broniła się z początku dziewczyna, zapewniając, że jest taką, jak zwykle, lecz, gdy ojciec nadmienił, że jest już w wieku, gdy głos serca zaczyna się odzywać, i że może ona poszła już za tym głosem, zaczerwieniła się, a potem rzuciła matce w ramiona i rozplakała.

Starali się ją oboje uspokoić, zapewniając, że szczęściu jej nie staną na drodze.

Wandzia tem ośmielona, odurzona zapachem jaśminu, upojona śpiewem słowika, pociągnięta czarem kwiatów, które podobnie, jak ona otwierały swe serca pod dotknięciem miłości-słońca, przyznała się, że kocha, wahała się jednakże przyznać, kto jest jej wybranym, aż nareszcie po wielu prośbach oświadczyła:

— Ani ojciec ani mama nie pozwoli na związek z moim ukochanym — oboje jesteście ludźmi starych pojęć i wiem, że miłość moją potępicie, jako występek.

Kęszyccy nie przypuszczając, aby córka ich mogła dopuścić do serca jakakolwiek występłą miłość — biorąc zaś wyrażenia dosyć dziwne raczej za obawę zwykłą dziewczętom w podobnych razach, upsokajali i zapewniali ją, że miłości jej nie potępią.

Wyznała nareszcie, że kocha oficera Wołkowa, który — jak wiedzieli Kęszyccy — był czysteju krwi Rosyaninem.

Ręce opadły starym; twarze ich pobladły. Siedzieli chwilę nieruchomo w milczeniu, a potem prawie jednocześnie podnieśli oczy na córkę, pytając, dlaczego tak z nich żartuje?

— Nie żartuję — odpowiedziała — i uprzedziłam was, że miłość moją potępicie.

— Ależ córko — ozwał się ojciec — jak można kochać wroga! Wołkow jest Rosyanem! Rosyan, to wróg naszego kraju, wróg naszego języka, wróg naszego wyznania!

— To są stare przesady — rzekła z jakąś mocą Wanda — czy dlatego, że pradziadowie bili się z Niemcami i z Rosyą, to i my musimy koniecznie iść za ich przykładem i czubić się również? Młode pokolenie ma inne zapatrywania i do innych dąży celów!

— Więc ty bez żadnych skrupułów związałaś życie swoje z wrogiem kraju? — wtrąciła matka.

— Jedyne skrupuły — ciągnęła już śmieiej Wanda, — to wasze niezadowolenie, poza tem czułabym się szczęśliwą, gdybym mogła stargać więzy starych przesądów i poślubić Wołkova, bez względu, jakiej by był narodowości lub religii.

— Więc wyemancypowałaś się aż tak, że uczucie religijne i narodowe w tobie zagasło? — rzucił gorzko ojciec.

— Nie uznaję uczuć narodowych ani religijnych. Nie jeden naród i wyznanie, lecz cała ludzkość powinna być naszym hasłem — i do zjednoczenia jej powinniśmy dążyć.

— Wandziu, ty nie wiesz, co mówisz — przerwał stary Kęszycki — wyrzec się uczuć narodowych lub religijnych, to samo, co wyrzec się uczuć rodzinnych. Czy byłoby ci obojętnem, gdyby kto, choćby i po naszej śmierci zabrał ten dworek, rozpościarał się w nim, a tobie dał miejsce w kuchni?

— Nie — odparła Wanda — nie byłoby mi obojętnem i dlatego wszelkim sposobem starałabym się odzyskać dawniejsze miejsce, choćby przez związek małżeński z wrogiem. Ja nie widzę w tem nic zdrożnego. Och! jaki ten świat zacofany — ciągnęła dalej — kiedyż wreszcie przyjdzie równouprawnienie wszystkich ras i zespolenie ogólne. Ja chcę należeć do ogółu, poruszać się w nim swobodnie, być dzieckiem całego świata, kochać wszystkich zarówno.

— Wandziu! — zawołała prawie ze zgrozą matka — co ty wygadujesz? Więc nas nie kochasz więcej ponad innych ludzi?

— Kocham was bardzo, a kochałabym jeszcze więcej, gdybyście podzielali moje zapatrywania.

— Ależ w takim razie przerwała pani Kęszycka — musielibyśmy ciebie kochać na równi z naszą kucharką, a wtedy nie mogłabyś i ty kochać nas więcej, aniżeli ją. Przyjąć taką ideę za zasadę, jest wręcz niemożliwem, uczucie bowiem macierzyńskie jest silniejsze ponad wszystkie inne, a objawia się nie tylko u uświadomionej ludzkości, ale i u bezrozumnych zwierząt. Wyzbyć się tego uczucia ludzkość nie może, nie zechce, bo niepodobna przypuścić, aby człowiek

pragnął obniżyć wartość swoją niżej zwierzęcia.

— Nie wiem, jakby było, — odparła rozdrażniona Wanda — to jedno tylko wiem i czuję, że cały ustrój społeczeństwa jest na złej drodze, i że przez to jednostki muszą cierpieć, tak, jak ja w tej chwili.

— Wandziu, dziecko moje — odezwał się łagodnie Kęszycki, — oprócz ogromnego przedziału, jaki leży między tobą, a Wołkowem, czy wiesz, że nie cieszy się on podobno opinią? Zgrywa się podobno w karty i ugania za aktorkami.

— Ach ojczu, to są tylko plotki, a plotki takie tylko dodają mężczyźnie uroku; zresztą nie psujmy sobie humoru i spokoju, w jakim aż dotąd żyliśmy — mówiła Wanda więcej pojednawczo — zresztą nie wychodzę jeszcze za Wołkowa, powoli ojciec i mama przyzwyczajai się do tej myśli i w końcu nie będzie się ona wydawać tak ohydną i straszną.

Uściskała oboje starych, a mówiąc, że chce iść do przyjaciółki Mani, zostawiła ich na ławeczce, a sama podążyła do domu, by się przebrać.

Po odejściu córki starzy Kęszyccy zapłakali oboje. Więc na to pielęgowali to dziecko, — wpajali w nią przez lat osiemnaście własną duszę, by słyszeć ją teraz urągającą im?... Dziesięć lat czekali na nią, gdy przyszła wszystkie troski i straty materialne złożyli na ołtarzu poświęceń — dla niej się śmiali, choć troska gniotła ich swym ciężarem — dla niej i nią jedynie chcieli żyć... A ona, to dziecko ukochane, podczas, gdy oni sądzili, że wpoili już w nią

wszystko swoje, że tradycje ich rodowe ukocha i otoczy się niemi jak puklerzem ochronnym, szydzi z nich i rzuca im w oczy, że źle ją chowali, że nie podziela ich zapatrywań i jeżeli pragną jej szczęścia, powinni wyzbyć się wszystkiego, co dla nich jest świętem — powinni wyzbyć się uczuć nie tylko indywidualnych, ale i ogólnych, wyzbyć się uczuć religijnych i narodowych, jednem słowem wszystkiego, co stanowi podstawę ich życia.

Złamanym, ponurym głosem ozwał się po chwili milczenia Kęszycki:

— Jeżeli ona wyjdzie za Wołkowa, ja tej hańby nie przeżyję!

— Uspokój się Leoś — mówiła pani Kęszyczka — może znajdziemy jaki sposób oddalić od nas to nieszczęście. Dziewczyna jest bardzo wolnomyślna, nie trzeba jej zrażać ostrymi wymówkami, może powoli sama przyjdzie do równowagi umysłu. Gdzie ona nabrała takich dziwnych przekonań? — toż Bóg wie najlepiej, że my chowaliśmy ją na Polkę wierną tradycyi naszych przodków.

Siedzieli potem zadumani, obojętni na śpiew słowika, nie czuli na zapach bzu i jaśminu — nie wiedzieli, nie odczuwali nic, ponad straszny ból, szarpiący każdy nerw serca.

II.

Cztery tygodnie upłynęły od owego poranku, w którym państwo Kęszyccy dowiedzieli się, kto jest wybranym ich jedynaczki.

Widzimy ich w popołudniowej godzinie siedzących na ganku i również jak wówczas oczekujących jedynaczki z tą jedynie różnicą, że wzrok ich nie zwraca się na drzwi domu, lecz na drogę od miasta.

Nie widać dziś w ich twarzach tej swobody i zadowolenia, jakie malowało się owego majowego rana, gdy napawali się wiosennem powietrzem. Dziś, zdaje się, wszystko dla nich jest obojętnem, cała uwaga skupiona na zewnątrz siebie. — Myśl dręcząca nie odstępuje ani na chwilę, pociągając ich całkowicie za sobą. Nie widzą rozkwitłych centofolii, nie czują ich zapachu, nie słyszą klekotu bociana po nad ich głowami; znieczuleni na otaczające ich piękno, całą siłę ducha starają się zużytkować na odpędzenie zła, jakie zagraża ich dziecku.

Po różnych debatach i próbach z jedynaczką, zdecydowali opuścić to miejsce, a tem samem ochronić Wandę od grożącego jej niebezpieczeństwa. Zmiana miejsca, sądzą, wpłynie na ich ukochanie.

Postanowili dzisiaj powiedzieć jej o tem i w chwili, gdy ich widzimy, z niecierpliwością oczekują jej powrotu — ciekawi jak wiadomość tę przyjmie.

Siedzą milcząco, przygnębieni, roztargnieni, zapatrzeni na drogę rychło się ukaże cel ich troski, nadziei i miłości.

— Idzie! — zawołała pani Kęszycka, która pierwsza zobaczyła Wandę.

— Obawiam się, by tylko nie sprzeciwiła się naszym projektom — rzucił stary — wiesz, że jest ona bardzo samowolna i pełna niepojętych idei.

— Aby Wandzia nie domyśliła się, iż ona jest powodem naszego wyjazdu może lepiej powiedzieć, że finansowe stosunki zmuszają nas do tego — podsunęła pani Kęszycka.

— Pewno, że tak będzie lepiej — dorzucił Kęszycki.

Furtka skrzypnęła i za chwilę Wanda zajęła miejsce na próżnem krzeselku, by odpocząć cokolwiek po przechadzce.

— Czekaliśmy na ciebie Wandziu — zaczął pan Kęszycki — gdyż mamy ci udzielić ważnych wiadomości.

Zwróciła pytający wzrok na ojca, a ten ciągnął dalej:

— Fundusze nasze nie przynoszą obecnie dostatecznego procentu, abyśmy mogli się utrzymać, postanowiliśmy przeto sprzedać wszystko i wyjechać do Ameryki: — tam obcym i

nieznanym, choć przyjdzie pracować, nie będzie to jak tu upokarzające.

— Jeżeli uważacie, że tak będzie lepiej — to trzeba jechać.

Ojciec tłumaczył jeszcze to i owo, lecz ona nie odzywała się już więcej, obserwując jedynie drganie zaniepokojonego serca. Tłumacząc się potem, iż musi iść do swego pokoju, by zdjąć kapelusz i zarzutkę — znikła za drzwiami.

Zaledwie przestąpiła próg swego pokoju, westchnęła głęboko i szepnęła: — To na mnie zasadzka... Biedni rodzice — rozumiem ich... sądzą, że zapomnę Aleksego i dla tego pragną mię wywieźć...

Zdjąwszy kapelusz i zarzutkę, rzuciła się na otomankę i pogrążyła w głębokiej zadumie.

W młodem jej sercu, pomimo spaczonych pojęć, żyło przywiązanie do rodziców. Wiedziała, że miłość jej zasmuca ich i od kilku już miesięcy toczyła walkę ze sobą.

Wanda miała gorącą, namiętą naturę, jedną z tych, które, gdy raz pokochają, kochają na zawsze. Rozumiała, że trzeba jej będzie poświęcić miłość własną lub miłość rodziców.

Będąc głębokich, aczkolwiek spaczonych poglądów, potrafiła odkrywać przyczyny i skutki.

Lecz co znaczy rozumowanie w obec pierwszej miłości dziewczyny!...

Chwiała i wahała się Wanda w wyborze. Jednego dnia szala przeważała w stronę obowiązków ku rodzicom, drugiego ciągnęła namięt-

nym szalem do młodego człowieka, który rozpromienił jej całą istotę. I teraz, leżąc na otomannie, nie płakała ani desperowała, jak wiele dziewczew w podobnych okolicznościach by zrobiło, lecz starała się rozumować, by znaleźć jaki punkt wyjścia. Jak zawsze, tak i teraz żaden stały argument, na którym by się mogła oprzeć, nie przyszedł z pomocą i znowu, jak zawsze, czuła w sobie rozterkę. Nie chciała stracić i smuć rodziców a pragnęła osiąść Aleksego.

Wyczerpana myśleniem, postanowiła poddać się losowi — uleż rodzicom. Na dnię jej serca zrodziła się iskierka nadziei, że zanim wybiórą się w drogę może coś nieprzewidzianego pokieruje wszystkim inaczej.

Nie przeczuwała, że rodzice po jej odejściu, widząc bierne jej usposobienie, postanowili korzystać z tego i opuścić kraj jak najprędzej.

Po chwili wypoczynku zrezygnowana wyszła do rodziców, starając się z udaną swobodą oddać rozmowie. Po udzieleniu niektórych nowin z miasta, jakie przyniosła ze sobą, stary Kęszycki oświadczył stanowczo, że za tydzień opuszczą Kalisz.

Pobladła trochę, ale się nie odezwała.

Kęszycki objaśnił dalej, że kupca na dom można każdej chwili dostać, pieniądze zaś, ulokowane na hypotekach, wycofną się później.

III.

W ostatnich dniach czerwca pociąg, pędzący z Ostrowa do Berlina, wiezie rodzinę Kęszycich. Milczą, każde zajęte własnymi myślami. Starzy siedzą przygnębieni, smutni, pobledli, jakby życie z nich uciekało...

Bo też nie inaczej!...

Oni tak kochali ten drogi polski kraj — zrosli się z nim — z jego bólem i nadziejami. Rozpadła wielkość ukochanego kraju żyła w ich duszach i odzywała się marzeniem lepszej przyszłości.

Czy wypadło im porzucać Matkę-Ojczyznę dla osobistych celów? Lecz przecież, te osobiste mają łączność z ogólnymi, a więc — nie mogli inaczej postąpić. Wiedzą, że zrobili to dla własnego i ogólnego dobra, a jednak tak boli — tak bardzo boli zostawić wszystko, co się tak bardzo kochało.

Patrząc na okolicę Wielkopolski, gdzie właśnie przejeżdżali, było im jakoby żegnali własną kolebkę narodu, jego rozwoju, potęgi — serca zadrgały im żywiej i ozwały się bólem serdecznym. Po raz ostatni żegnali Matkę-Ojczyznę, po raz ostatni żegnali kolebkę, która wykołysała wieków pokolenia...

Gdy dojeżdżali do Berlina, czuli, że dusze pozostawili za sobą...

Inną była myśl Wandy. W początku podróży nie czuła nic — nie potrafiła z bieżących wypadków zdać sobie sprawy; powoli przychodziła świadomość, a z nią powstawał bunt przeciw rodzicom.

Jak mogli rządzić nią i kierować podług własnej woli, mówiła w duchu do siebie, czyż jej zdanie, jej wola nie tu nie znaczy? Czyż jest niewolnicą średniowiecznych przesądów?...

Dlaczego musiała się ugiąć, by zadowolnić ich zacofane pojęcia? Ona, zwolenniczka postępu!...

Dla czegoż nie stawiała im oporu! Może byliby się dali przekonać.

W miarę jak podobne myśli się mnożyły — opór w niej rósł; więc już w następnym pociągu, który wiozł ich do Hamburga, Wanda wyrzuciła rodzicom, że, postępując nietaktownie, niszczą jej spokój i szczęście na zawsze.

— Wieziecie mnie — mówiła — jako ofiarę swoich uprzedzeń; nie rękę, czy miłość, jaką w mem sercu dla was czuję, nie zamieni się w zimną obojętność lub gorzej.

Państwo Kęszyccy, pojmując burzę, jaka obecnie musiała szaleć w jej sercu, rzucili kilka łagodnych słów, poczem przymkli oczy, udając drzymkę. Nie chcieli jej drażnić, a sądzeni, że w spokoju najlepiej przyjdzie do równowagi.

W duszy Wandy istotnie szalała burza. Nie mogła opanować namiętnego pociągu serca, któ-

ry jak huragan niósł jej zniszczenie, a podniecany zboczonymi ideami, wzbierał buntem jak fale rozhukanej rzeki.

Nie przechodziło znów przez jej myśl, ona nie będzie dłużej posłusznym dzieckiem... powolnym narzędziem... ona chce rządzić sama sobą! Nie będzie żyła dla zbutwiałych przesądów przeszłości, lecz postanowi krok naprzód! Da przykład przyszłości!

Postanowiła więcej z rodzicami o tem nie mówić, lecz działać na własną rękę i na własną odpowiedzialność.

Wanda od pierwszego spotkania Wołkowa na wieczorku u aptekarzy B. pokochała go; widziała też, że zrobiła na nim wrażenie. Po kilku zabawach i spotkaniach się tu i owdzie, Wołkow wyznał jej swą miłość. Wanda nie ukrywała, że go kocha, w obec rodziców jednakże nie wiedziała, jak się zachować, gdyż Wołkow nie mówił z nią nigdy o ślubnym związku. Dopiero krótko przed odjazdem oświadczył jej, że miał stałe zamiary i pragnął ją pojąć za żonę.

Wśród chaosu, wywołanego zbieraniem i pakowaniem rzeczy, Wanda nie miała czasu brać pod rozwagę jego wyznania. Dopiero teraz, w miarę oddalenia się od ukochanego człowieka, rosło i potęgowało się ono w wyobraźni dziewczęcia, ciągnąc swą mocą na dno przepaści, jak kamień uwiązany u szyi topielca.

Wyrzucała sobie gorzko, że nie oparła się rodzicom i bądź co bądź postanowiła złe naprawić.

W Hamburgu Kęszyccy czekali tylko dzień jeden. Okręt, na który bilety mieli kupione, odchodził drugiego dnia rano. Kontenci byli z tego, po gwałtownem bowiem wystąpieniu Wandy, pragnęli już jak najprędzej odbić od brzegu.

Gdy na drugi dzień ulokowali się na okręcie, jakoś lżej im się zrobiło, tem więcej, że i Wanda jakoś się ożywiła, okazując to szczerem zajęciem się rodzicami, ich pakunkami i wogóle wszystkim, co się do nich odnosiło.

Wanda miała dobre wykształcenie i znała doskonale kilka języków; w drodze znajomość ta przydała się jej bardzo.

Po rozejrzeniu się w kajucie Wanda zrobiła uwagę, że drobne pakunki lepiej by było mieć pod ręką, poszła przeto się dowiedzieć, czy nie można by ich było dostać.

Długo jakoś bawiła; słysząc, że okręt daje sygnał odejścia, Kęszycki zaniepokojony wyszedł na pokład, by się przekonać, czy się jej co złego nie stało.

Nie znalazł jej nigdzie.

Zrozpaczony wrócił do kajuty; żonę zastał zemdloną z zaciśniętym w rękę listem; zanim przyprowadził ją do przytomności, okręt już pruł fale wody. Po otrzeźwieniu pani Kęszycka objaśniła, że sięgając do koszyczka po święconą wodę, by się nią przeżegnać na drogę, znalazła w nim list Wandzi.

Wanda pisała, że nie może zdobyć się na zburzenie własnego szczęścia, opuszcza więc ro-

dziców i pokieruje się w świecie własnymi siłami. Prosiła, by jej przebaczyli, zapewniając, że nawet przy boku Wołkowa nie zapomni o nich.

— Nędznica! — krzyknął z boleścią po przeczytaniu tych kilku wierszy, Kęszycki — hańbę ściągą na nieskalane imię nasze. Z rozdartą duszą, wstydem i upokorzeniem jedziemy do obcej ziemi. Oby wolny duch Ameryki dał nam zapomnienie hańby naszego dziecka.

Oby wolny duch Ameryki owionął nas swem tchnieniem i dał nam zapomnienie bólu, wywiezionego z ziemi ojców.

Wando nie usłyszysz nigdy o twym ojcu!

Pani Kęszycka, obawiając się, by w przystępie rozpacz nie rzucił przekleństwa na córkę — wyjęła krzyżyk z torebki, a trzymając go przed mężem, mówiła:

— Ten umierał opuszczony od wszystkich, a mimo to przebaczał.

Opamiętał się zbolący ojciec, padł na kolana i wśród łkań powtarzał:

— O Jezu! Jezu! Jezu! zmiłuj się nad nami!

Wtórowała mu w tem żona, a okręt płynął dalej... i dalej... uwożąc zbolących od wszystkiego, co tak bardzo drogiem im było.

Okręt płynął, zbliżając się do wolnej ziemi Washingtona, która czeka zawsze z otwartymi ramionami, by na łono swoje przyjmować smutnych i strapionych i dać im ulgę w balsamie wolności.

IV.

Aleksy Wołkow po odjeździe Wandy, kontent, że pozbył się głupiej Polki, której miłość wydała mu się zbyt naiwną — wyprawił suty wieczorek.

Podochocony Wołkow przechwalał się, ile całusów dostał od Wandy, a gdy pewien młody doktor, Polak, który szanował niezmiernie Kęszyckich, ujął się za ich honorem, Wołkow bezwstydnie przedstawił list pożegnalny, w którym było całusów bez liku.

Wesoły, bardzo wesoły był tego wieczora Wołkow i pił, a grał w karty hazardowniej niż kiedyindziej.

Zgrawszy się tak, że już nie miał czem płacić, — położył na los szczęścia szpadę i oficerskie epolety. Przegrał. Zwycięzcą był wspomniany doktor. Zabrał jedno i drugie i ulotnił się z zabawy.

Wołkow pił tak zapamiętale, że stracił świadomość wszystkiego, co zaszło. Po niejakiem czasie wszczął kłótnię z jednym z towarzyszy, a chcąc sobie w niej pomódz czynnie, sięgnął po szpadę, a nie znalazłszy jej, zrobił taką awanturę, że przechodzący patrol zabrał go do aresztu.

Po rozpatrzeniu sprawy zasądono go na dłuższy czas do więzienia.

Ponieważ Kęszyckich w Kaliszu nie było, cała ta sprawa nabrała jeszcze większego rozgłosu i tak tamtejsze pismo, jak i cała publika pozwalala sobie na ich rachunek rozmaitych plotek i dowcipów.

W czasie, gdy Wanda złamała serce rodzicom i zatrula im spokój na zawsze — z przeświadczeniem, że robi to dla ducha postępu — cały Kalisz bawił się jej kosztem, szydząc z niej niemiłosiernie.

Powróciwszy do Kalisza, stanęła u przyjaciółki Mani, mając zamiar tymczasem, zanim Wołkow stałe kroki przedsięweźmie, przyjąć miejsce nauczycielki. Mania była echem Wandy, to też Wanda liczyła na jej pomoc w każdym razie. Przeliczyła się biedaczka, a raczej nie doliczyła — rodziców Mani. Ci ostatni bez ogródek wypowiedzieli jej swój dom.

Na zapytanie dlaczego nie pojechała z rodzicami — odpowiedziała, że rozmyśliła się; dodała przytem, iż potrafi na siebie zapracować i sobą pokierować, będzie więc starała się tu o jakie miejsce, bo nie miała chęci wyjazdu do Ameryki. Rodzice Mani domyślali się, co spowodowało wyjazd Kęszyckich, to też obawiając się, aby zły przykład nie udzielił się córce, bez ceremonii kazali się Wandzie wynosić.

Mania pokryjomu poinformowała ją o wszystkim, co w jej nieobecności zaszło i biedna,

zbląkana dziewczyna, słysząc to, czempredzej ze wstydem Kalisz opuszczała.

Nie było za czem czekać. Wołkow był w więzieniu i choć starała się bronić go przed sobą, czuła, że hańba więzienia rozdzieliła ich na zawsze. Była jeszcze w niej odrobina szlachetnej dumy.

Zaczęła też pojmować, że źle zrobiła. Żał ją zdjął za rodzicami; skrucza zapukała do duszy i tę Wanda umyśliła przyjąć, jako swoją wybawicielkę.

Matka jej miała brata księdzem niedaleko Radomia — tam postanowiła się udać, a znając dobry, szlachetny charakter wuja, spodziewała się skruczą wyjednać sobie jego przebaczenie, a przez niego pojednanie z rodzicami.

Stało się, jak przewidywała. Ksiądz, wuj, słysząc całą historję i widząc łzy skruczy w jej oczach, — przycisnął ją do serca, kazał się modlić, obiecał sam westchnąć do nieba i mieć nadzieję, że wszystko złoży się na lepsze.

Zdziwił się bardzo, że siostra wyjechała do Ameryki; trochę mu było przykro, że go nie zawiadomiła, ani o modlitwę prosiła, lecz będąc rozumnym dobrego serca człowiekiem, wnet sobie wyperswadował, jako w podobnych okolicznościach pewno i bolało zanadto i wstydziała się pisać.

Zamyślił się też wielce.

Już od roku nosił się z zamiarem wyjazdu do Ameryki, lecz tak jakoś schodziło, teraz całe to zdarzenie zdawało mu się wskazówką drogi.

Bo i cóż on tu z tą dziewczyną zrobi? — myślał sobie — reputację ma zepsuta, starzy się tam zatrują na śmierć — tu stąd ślad ich odnaleźć będzie trudno, bo dotknięci hańbą córki, może i wieści o sobie nie dadzą. Najlepiej więc zabrać z sobą Wandę i jechać z nią do Ameryki.

Myśl ta wydała mu się kotwicą ratunku, to też nie namyślając się długo, udał się ksiądz Borecki po pozwolenie i potrzebne papiery do biskupa. Po załatwieniu wszelkich formalności i pożegnaniu swych parafian, wybrał się z siostrzenicą w drogę.

Nie chcąc przyczyniać jej upokarzających wspomnień — jechał na Bremen.

Ceniła wielce tę szlachetność Wanda i z całą ufnością oddawała się pod jego opiekę. Starala się też odgadnąć każdą jego myśl i życzenie.

Ksiądz Borecki liczył już lat 54, znał więc naturę ludzką na wskrós, będąc przytem człowiekiem dobrego serca, wiedział gdzie i jak goić rany duszy. Słuchała Wanda z wielkiem zajęciem jego nauk, i tak się niemi przejmowała, że zapomniana od lat kilku modlitwa znalazła się na jej ustach.

Czasami jednak, gdy dawniejsze mrzonki wracały, krytykowała go w duchu, to znów zawstydzona, strofowała się za to. Wyzbyła się trochę dawniejszego uporu, bez krytyki wszakże obejść się nie mogła. Szanowała wuja, ceniła jego prostą drogę, chciałaby ją była widzieć oświetloną chwiejącem światłem spaczonych swoich idei.

Pomimo szlachetnego, świątobliwego wpływu, jaki na nią wywierał ksiądz Borecki, pomimo, że przyznawała mu wielkość ducha, poddać się zupełnie jego sterowi nie chciała, ani myślała.

W takim była nastroju, gdy przybyli do Nowego Yorku.

Ksiądz umieścił Wandę u jakiejś polskiej familii — podał ogłoszenie do gazet, poszukując Kęszyckich, a sam wybrał się do stanu Michigan, dokąd miał polecające listy. W krótkim czasie miał parafijkę na farmach, a że o Kęszyckich żadnej jeszcze wieści nie było, sprowadził Wandę do siebie.

V.

Dwa lata upłynęły od opisanych wyżej wypadków.

Na plebanii księdza Boreckiego widać niezwykły ruch. Co chwila zajeżdżają farmerskie "buggy", a z nich wysiadają strojni mężczyźni i kobiety — kilku księży spaceruje wśród kłębów geranii, rezedy i astrów — cała plebania i kościół tak zewnątrz, jak wewnątrz przystrojone w zieleń i kwiaty.

Podwójną uroczystość dziś obchodzą: rano odbyło się poświęcenie kościoła, który ks. Borecki swoim staraniem i zabiegami wystawił, a wieczorem o godzinie ósmej odbędzie się ślub Wandy z Lewickim, zamożnym farmerem z sąsiedztwa.

Pan Lewicki, były nauczyciel z Poznańskiego, pełnił i tu obowiązki i nauczyciela i organisty, lecz że parafia była mała, mógł się jeszcze po za tem oddawać gospodarstwu. Był to człowiek mniej więcej lat trzydziestu pięciu, nie piękny, ale bardzo miły, trochę otyły, z czem mu zresztą było do twarzy. Ciemne, pełne ognia oczy mówiły o gorącym sercu, choć usta mileżały, bo Lewicki był mało mówiącym.

Czy kochał on Wandę? I tak i nie.

Wanda pięknoscią swoją każdego mogła podbić, oczarowała więc i Lewickiego, lecz Lewicki poza powierzchowną pięknoscią pragnął znaleźć w towarzyszce życia pięknosć duszy.

Wanda odkąd przybyła do wuja w farmer-skie te okolice, widząc otoczenie prostaczków, nie udzielała się nigdzie i zamknęła się sama w sobie. Nikt nie byłby w stanie odgadnąć, co kieruje jej istotą, jakie uczucie bierze górę ponad nią.

Lewicki znał ją taką, jaką była obecnie — zamkniętą w sobie. Pomimo usiłowań nie był w stanie zajrzeć w głąb jej duszy; zagadkowość jej czasem go pociągała, czasem przerażała.

A Wanda? Dla niej, nie mogąc kochać nikogo, było obojętnem, za kogo wychodzi. Raz tylko kochała. Pogrzebała swe marzenia, a dziś jest tylko losu bierną istotą. Lewicki ją kochał — wuj sobie życzył, była to zresztą najlepsza partya, jakiej w tamtej okolicy spodziewać się mogła, a więc wypadało iść za Lewickiego.

Całkowite szczęście i radość gościło jedynie w sercu księdza Boreckiego. “Te Deum laudamus” śpiewała mu dusza, bo i jakże nie miała chwalić Pana, skoro błogosławił pracy jej i otaczał swoją świętą opieką.

Gdy ks. Borecki przybył do F... nabożeństwo odprawiał niezem w szopce Betlejemskiej, — do mieszkania wchodziły bez ceremonii prosięta i cielęta — dziś chwalić Boga, jest kościółek, jest plebanijka z ogrodzeniem — upięk szo-

na trawnikami i kwiatami, a co główne, jest miłość parafian. Najlepszym tego dowodem za-jeżdżające bryki.

Rano po ceremonii poświęcenia kościoła, parafianie na rękach go unieśli, łzami wdzięczności oblali, a teraz składają drugi dowód swej życzliwości.

Prezenta, jakie zwożą jego sierocie i temu, co kształci ich dzieci, których szkółka już pomieścić nie może, napelniają go względem nich żywą wdzięcznością. Raduje się więc dusza ks. Boreckiego, a raduje z postawienia domu Bożego, raduje przywiązaniem i życzliwością swoich owieczek, raduje się, że wreszcie los Wandy się ustali. Znając jej dziki charakter, obawiał się ciągle jakiego skandalu z jej strony — Bóg dobry uchował go od tego i dziś oddaje ją pod opiekę człowieka, którego ze wszech miar wielce ceni.

Nie dziw więc, że *Te Deum laudamus* wypełniło mu całą istotę.

Rozpromieniony, szczęśliwy, krząta się pomiędzy gośćmi; jedno tylko życzenie ma na dnie duszy: odnalezienie rodziców Wandy. Po bezowocnym poszukiwaniu z początku, zaniechał ich później, ale teraz od trzech miesięcy poruszył wszystkie, nawet policyjne sprężyny i ludzi się nadzieją, że może w tak ważnej chwili Bóg jaką wiadomość ześle.

Z godziną ósmą *Veni Creator* zabrzmiało w kościele i Wanda Kęszycka została złączona węzłem małżeńskim z Józefem Lewickim.

VI.

Wanda po ślubie była dla Lewickiego takim samym sfinksem jak przed ślubem. Zimna, obojętna, niedostępna. Nie pragnęła pociągnąć go w głąb swej duszy, bo i cóż mu tam mogła ukazać? Jedynie ruiny zniszczonej miłości!... Nie chcąc odkrywać własnej duszy, nie starała się poznać i zbliżyć do jego — pomimo, że Lewicki tak gorąco tego pragnął.

Długo on czekał na towarzyszkę życia, gdyż pragnął kobiety inteligentnej, któraby zrozumieć go mogła, a ponieważ na farmach było to niemożliwem, kroczył już ku czterdziestce, aż los mu ją sprowadził. Och! gdyby ta kobieta chciała go zrozumieć, jak on by ją kochał!... Byłaby mu i miłością i świętością i pragnieniem i wypełnieniem. Niestety. Wanda nie starała się zajrzeć w duszę Lewickiego i nie widziała skarbów tam ukrytych.

Tak przeżyli lat dziesięć. Owocem ich związku był syn, który przyszedł w drugim roku pożycia. Wanda nie rozjaśniła się i na widok dziecka. Z tą samą obojętnością wychowywała go. Wanda z natury nie bardzo lubiła dzieci, a z zasady nie chciała ich, a z człowiekiem, którego nie kochała, nie pragnęła ich wcale.

Dziecko nie ośmielone pieczęcią lub słowem matki, rosło ponure, zamknięte w sobie.

Lewicki za to kochał syna bez granic. Uczucie jego wielkie, potrzebowało oparcia — zachwiane na podstawach miłości żony, oparło się na dziecku. Chłopiec kochał ojca daleko więcej, jak matkę, lecz będąc skryty, w szczególny sposób to okazywał; mimo to rozumiał go ojciec i na nim budował swe szczęście.

Inaczej jednak było sądzone.

Michał dochodził lat dziewięciu, gdy śmierć okrutna przecięła pasmo życia Lewickiego. Umarł na zapalenie płuc.

Nie wiele wdowa płakała; majątku zostało około dwunastu tysięcy dolarów, mogła więc łatwo się pocieszyć.

Wanda pisywała od czasu do czasu do Kalisza do przyjaciółek w nadziei dowiedzenia się przez nich o rodzicach, wiedziała, że mieli tam jeszcze trochę pieniędzy ulokowanych na hipotekach, spodziewała się więc dowiedzieć o nich, gdy je będą wycofywać. Jak dotąd nic się nie dowiedziała; interesa pieniężne załatwiał adwokat, sprawozdania odsyłał do Nowego Yorku, tam znowu na jakąś pocztę, a tam wszelki ślad ginął. Korzystała z tej korespondencyi tyle, że wiedziała, co się dzieje w Kaliszu, a tam wiedzieli, co się z nią dzieje.

Gdy doszła wieść o jej wdowieństwie i jej mająteczku, Wołkow, który był jeszcze kawalerem, a któremu za jakieś przestępstwo, znów groziło więzienie — uciekł do Ameryki.

Było to w rok po śmierci Lewickiego. Wanda zdjęła już żałobę, która, mówiąc nawiasem, bardzo jej ciążyła.

Ubrana w białą muślinową suknię, leżała z na wpół przymkniętymi oczyma z wyrazem znużenia na twarzy w hamaku, przyczepionym do drzew obok domu. Szelest jakiś zmusił ją otworzyć oczy i — złudzenie czy sen? — ujrzała Wołkowa przed sobą. Zamknęła znów oczy, znów je otworzyła, lecz nie, to nie złudzenie! Wołkow stał na tem samym miejscu.

Nie mniej zdumiony od niej już to jej dziwnem zachowaniem, już to oczarowany cudnymi kształtami jej ciała, które luźna muślinowa suknia uwydatniała doskonale — wpatrywał się w nią z chciwością. Figura Wandy, od czasu, gdy ją widział, wypełniła się i obecnie była w najpiękniejszym rozwoju.

Po paru minutach wzajemnego przypatrywania się sobie, wyciągnęli ręce i uścisnęli sobie dłonie.

Za dotknięciem jego ręki Wandę przeszedł dreszcz rozkoszy... poruszył każdym nerwem jej ciała!... potrzebowała całej mocy panowania nad sobą, by nie rzucić się w jego ramiona i zawołać: Nareszcie... nareszcie przyszedłeś wypełnić mnie!...

Wołkow odgadywał uczucia Wandy i na swój sposób rozkoszował się nimi.

Podniosła się Wanda z hamaku i zmięszani, niepewni, skierowali się ku domowi.

Tłomaczył się Wołkow jakoby wówczas dostał się do więzienia za awanturę, stoczoną z ko-

legą w obronie jej czci. Mówił, że starał się wszelkimi sposobami skomunikować się z nią, lecz nie mógł dostać jej adresu; gdy mu wreszcie go doręczono, ona już była Lewicką. Skoro się tylko dowiedział, że jest wdową, pospiesza do niej, by jej ofiarować swą miłość i imię. Zaklinał, że wszystko zrobi dla niej, nawet przyjmie wyznanie katolickie.

Wanda odżyła. Świat się dla niej otwierał — świat, o którym dnie i noce marzyła.

Ksiądz wuj, zawiadomiony o wszystkim, nie opierał się. — Niebo zyska jedną duszę — myślał. — Wanda go kocha, tu w otoczeniu Polaków spolszczy się, nazwisko przy chrzcie zmieni na Wołkowski, gospodarstwo będzie miało gospodarza, juści nie inaczej — kończył swoje rozumowanie — jeno trzeba będzie pobłogosławić.

Jakoż w dwa miesiące potem, pobłogosławił Wandę Lewicką z Alekssem Wołkowskim.

Znając niski, marnotrawny charakter Wołkowa i samowolny Wandy, możemy sobie przedstawić ich pożycie.

W początku Wanda oddała mu się bez granic, z czego potrafił Wołkow korzystać, wyciągając od niej znaczniejsze sumy. Gdy spostrzegła zbliżającą się ruinę i odmówiła pieniędzy, które Wołkow tracił w karty w okolicznych miasteczkach — scenom gwałtownym nie było końca. Ten ukochany, upragniony, oczekiwany człowiek tak się sprzykrzył, że gdy pewnego dnia po sześcioletniem pożyciu opuścił ją na za-

wsze, Wanda, pomimo iż była ogołocona z majątku, odetchnęła swobodniej.

Wuj jak poprzednio, tak i tą razą był znowu deską ratunku. Zabrawszy Michasia i kilka set dolarów, jakie się jeszcze zostały, pojechała do niego. Zasmucił się staruszek, lecz przycisnął oboje do kochającego serca.

Wewnętrzna istota Wandy uległa teraz zupełnej przemianie. Zaczęła pojmovać przed czem bronili ją rodzice. Szlachetny Lewicki, który, pomimo jej oziębłości, otaczał ją takim szacunkiem, występował w jej wyobraźni jako wyrzut sumienia. Teraz wiedziała, czem powinna być dla niego. Pragnąc choć późno wynagrodzić wyrządzoną mu krzywdę, zwróciła się z nienaturalną czułością i troskliwością do syna, którego Lewicki tak bardzo kochał.

Zawstydziła się i przelęknęła się, spostrzegłszy w Michasiu szkaradne nałogi i maniery. Wołkow pochłonął jej całą istotę; — na syna mało zwracała uwagi, rósł więc chłopiec sam, jak dzikie, nie pielęgnowane drzewo. Zatrwożona skierowała teraz całą swą duszę na niego, lecz, pomimo najlepszych chęci, złych jego skłonności i uporu przełamać nie mogła. Chłopiec, liczący dopiero piętnaście lat był tak samowolnym i złym, że z matki formalnie szydził.

Wanda, wiedząc, że życie swoje przez upór zniszczyła — używała wszelkich sił, aby z syna jeszcze co wyrobić; wzywała do pomocy księdza wuja, wzywała nieba. Niestety, chłopiec z łona jej wyniósł, z piersi jej wyssał dzikie, nieuchwy-

ne pragnienia, które prawdopodobnie, zastąpione rozumną miłością matki lub ojca, rozpieczęły by; pozostawiony zaś sam sobie, przejmował się nimi i około nich skupiał bujny, niedoświadczony umysł.

Napróżno matka, napróżno wuj przemawiali do niego gorącymi słowy miłości — chłopak prosto w oczy z nich drwił.

Rozpaczała nad nim Wanda, martwił się ksiądz Borecki.

Na daremnych wysiłkach, by zaniedbane wychowanie chłopca naprawić, zeszedł rok. Michaś doszedł lat szesnastu i sprzykrzywszy sobie opiekę matki i morały księdza, ulotnił się pewnego dnia z domu.

Przez kilka miesięcy poszukiwano go nadaremnie, a gdy wreszcie wpadnięto na jego ślad, chłopak za jakąś kradzież był w domu poprawy.

Zmarnowany, zbiedzony przez te kilka miesięcy nędznem i lekkomyślnem prowadzeniem się, w drugim miesiącu kary zakończył życie.

Zabrali ciało do domu, pochowali uczciwie, lecz spokój od tego czasu opuścił plebanię księdza Boreckiego.

Wanda buntowała się i szemrała więcej, a nizeli kiedykolwiek na niewłaściwy ustrój społeczny i przypisywała wpływom tegoż zepsucie Michasia.

Ksiądz Borecki, który już był siwiutkim i zgrzybiałym, truł się też bardzo. On tak pragnął wszystkich dobra, tak pracował i pomagał wszędzie, ile sił starczyło; wprawdzie odbierał

dowody uznania i zbierał owoce swej pracy, lecz tylko u obcych. Swoi wydawali chwasty i głogi, a te raniły go boleśnie. Boleść ta pochyliła go jeszcze więcej i nurtowała w sercu jak robak toczący drzewo.

Dobry ufający ksiądz Borecki nie mógł się oprzeć burzom boleści i w dwa miesiące po pogrzebie Michasia zasnął na wieki.

Po pogrzebie, spieniężywszy wszystko, co się dało, Wanda opuściła F. . . , udając się do Nowego Yorku. Opinia parafian skierowała się przeciw niej; obwiniali ją, jakoby jej postępowanie i syna, wtrąciło ukochanego pasterza do grobu, nie pozostało zatem Wandzie, jak tylko opuszczać czempredzej tamtejsze okolice.

VII.

Wanda pomimo, że liczyła lat blisko czterdzieści, była jeszcze bardzo piękną kobietą, przytem mając dobre wykształcenie i ułożenie, potrafiła łatwo obracać się między ludźmi i jednać sobie przyjaciół. Będąc teraz absolutną panią swej woli, postanowiła rozejrzeć się wśród mrowia ludzkiego i rozeznąć, jakie przekonania godzą się najlepiej z jej przekonaniem, a wtedy przyłączyć się do jakiej partyi. W tym celu chodziła na rozmaite publiczne mityngi.

Odbicie swej duszy ujrzała w anarchizmie, to też, nie wahając się długo, przystąpiła do związku. Zasadami ich tak się przejęła, że wkrótce występowała z mowami. Pięknością swoją i wymową wabiła tłumy na zebrania. Każde jej przemówienie przyjmowano z entuzjazmem; powodzenie to tak rozzuchwaliło klikę anarchistów, że postanowili przemawiać na ulicach.

Jersey City przypadło w udziale bandzie, do której była włączona Wanda. Dwa jej wystąpienia dały anarchistom ogromny rozgłos i powodzenie, ale też obudziły czujność policyi. Gdy trzecim razem, a było to jakoś o zmierzchu, Wanda rozpoczęła wywódzić swe arcywolne poglądy, policya otoczyła ich dokoła, kilku zaare-

sztowała, a za uciekającymi puściła się w pogoń. Do tych ostatnich należała Wanda.

W początku prawie bezprzytomna biegła na oślep. Z nadchodzącym zmrokiem zwolniła kroku, przyprowadziła myśl do równowagi i zaczęła się zastanawiać nad swem położeniem. Ze zgrozą spostrzegła, że droga, którą obrała, a do której całe życie zmierzała, prowadziła do więzienia. Schlebiało jej przemawianie do tłumu, ale poświęcić się dla swej idei, by marnieć w więzieniu, nie miała ochoty; nie była też pewną, czy idea warta była takiego poświęcenia. Na wspomnienie więzienia wzdrygała się cała. Odpychała od siebie tę myśl, a z nią zdwoiła znów kroki.

Nie znając miasta, nie wiedziała, gdzie się znajduje. Biegła tak długo, aż zapadła zupełna ciemność nocy, wtedy zmęczona, wyczerpana, postanowiła zapukać do domku, który stał na uboczu w nieznanym i tak zaludnionej dzielnicy.

Stara kobieta z lampą w ręku przyszła otworzyć drzwi, a na błagalną prośbę kobiety, by pozwoliła jej w swym domu odpocząć, wpuściła ją do środka.

Postawiwszy lampę na stole, wpatrzyła się w przybyłą, a gdy ta, chcąc najście swoim czemś wytłomaczyć, zaczęła jakąś historję, sta-

ra zatrzęsła się gwałtownie i ledwie zdołała ukryć swoje wzruszenie.

Wanda zanadto była zajęta sobą, aby zauważyć zmianę w staruszce. Dopiero, gdy się trochę wygadała, posiliła i rozpatrzyła, widząc, że staruszka sama zamieszkuje, zwróciła na nią uwagę i zapytała czy nie przykro i nudno jej mieszkać tak samej oddalonej od innych domów? Również zapytała ją jakiej jest narodowości, gdyż akcent zdradzał jakoby nie była amerykanką.

Na odpowiedź starej, że jest Polką, Wanda zawołała po polsku:

— I ja nią jestem.

Chcąc dać odpowiedź na pierwsze pytanie stara już po polsku podjęła:

— Cóż zrobić? trzeba mieszkać samej, jeśli inaczej nie można. Moja córka — moja miłość — moja nadzieja — uciekła odemnie, mąż odumarł, zostałam sama i czekam miłosierdzia Bożego.

Wandzie serce zaczęło bić gwałtownie, rozszerzonemi źrenicami patrzyła na staruszkę i ledwie dosłyszalnym głosem rzuciła:

— I nigdy pani nie słyszała o swej córce?

— Nigdy! — odrzekła stara — córka dla występnej miłości opuściła nas i została w starym kraju; w początku naszego przybycia mąż mój wyrzekł się jej zupełnie i otóż, nie chcąc

spotkać gdziekolwiek jakiej hańbiącej wzmianki o niej, nie czytaliśmy żadnych pism, a i stosunek z ludźmi ograniczyli. Zerwaliśmy z przeszłością i wśród bólu i rozpacz żyli beznadziejnie. Przed dwoma laty umarł mąż, a mnie samotnej rwie się serce i ciągnie dusza, by się coś o dziecku dowiedzieć, ale trudno jakoś teraz nawiązać dawniejsze stosunki. Miałam w Radomskim brata księdza, do niego pisałam, chcąc się przez niego co dowiedzieć, list się atoli wrócił i nie wiem, gdzie go szukać. Pragnęłabym przed śmiercią usłyszeć o mojem dziecku, lecz łaskę tę zostawiam, woli Bożej.

Przez cały czas mowy staruszki Wanda osłupiałym wzrokiem patrzyła na nią jak na zjawisko.

Tak, to była jej matka: Siwiuteńka, blada, z obwisłymi policzkami, zgarbiona, lecz we wszystkim tem było w niej coś dawnego i im dłużej w nią się wpatrywała, tem więcej ją sobie przypominała.

Gdy stara Kęszycka przerwała swoje opowiadanie, Wanda osunęła się na kolana, a wyciągając błagalnie ręce, zawołała:

— Matko!

Stara stała wyprostowana dumnie o ile starość na to pozwoliła i głosem prawie zimnym zapytała:

— Jaką powracasz?

— Nawrócona, pokutująca, aby zyskać Boskie rozgrzeszenie, przebaczenia twego matko, błagam! — zawołała Wanda głosem pokory.

Otworzyła matka ramiona, schyliła się do kłęczącej córki, a szepeąc przez łzy — niech ci Bóg przebaczy, przycisnęła ją do serca.

Nigdy Wanda w życiu nie zaznała takiej ulgi i rozkoszy, jak teraz na sercu starej matki, przebaczącej wszystkie jej winy.

Odrodziła się. Odrodziła do innego lepszego życia.

Wanda, której syn zadał tę samą ranę, jaką ona zadała swoim rodzicom, rozumiała teraz swą matkę lepiej niż kiedykolwiek. Widziała też doskonale, jak ta matka pod każdym względem ją przewyższała. Podczas, gdy ona winiąc świat, ludzi, gotowa była rzucać bomby, siać śmierć i zniszczenie, matka ze spokojem duszy, choć ból serce szarpał, żyła modlitwą i szlachetną pracą, zajmowała się bowiem robieniem odznak dla towarzystw kościelnych i patryotycznych.

Matka wydała się teraz Wandzie jakby świętą, to też jedynem pragnieniem Wandy było naśladować ją, by zaznać tego spokoju duszy, jaki ani na chwilę nie odstępował Kęszyckiej.

Otoczyła matkę miłością i troskliwym staniem. Idąc za jej przykładem, wzięła się do pracy. Będąc bardzo zręczną w hafcie, otworzyła

pracownię chorągwi, jak również religijnych i patryotycznych odznak. Mając wielu księży znajomych, nie trudno jej było wyrobić sobie odbiorców.

Pani Kęszycka, czy to wskutek wzruszenia, czy to wyrokiem nieba, które tak długo ją trzymało, ażeby córkę jeszcze oglądała — w trzecim miesiącu po jej przybyciu zamknęła oczy na wieki.

Znowu Wanda została sama, nie upadła jednak, jak dawniej na duchu, lecz święte życie matki zaczęła naśladować.

Pracując dla pożytku ogółu, Wanda wynagradzała błędy swej młodości.

Przed kilkunastu laty mieszkając w New Yorku miałam sposobność poznać “panią Wandę”, jak ją powszechnie cała okolica nazywała.

Okazyja do tego nadarzyła się w następujący sposób:

Haftując poduszkę, pragnęłam nabyć wzór przedstawiający jakieś patryotyczne tło; poradzono mi udać się do pani Wandy, by mi opowiedziała różne epizody z jej życia. Pragnąca zawsze wrażeń, po niejakim namyśle pojechałam do niej, tem więcej, że Jersye City leży tak blisko Nowego Yorku.

Po wyjaśnieniu celu mojego przybycia, wdałyśmy się w pobieżną rozmowę. Nie wiem,

czy jej się spodobałam i wzbudziłam zaufanie, czy też wogóle taką była, dość, że opowiedziała mi całą swą historję, tak, jak mniej więcej tutaj ją opisałam i ponad to zaprowadziła mnie do swego sypialnego pokoju, ażeby mi pokazać “marzenie i rzeczywistość”.

Gdy weszłyśmy do sypialni, stanęłam, jak wryta. Wzrok mój padł na obraz, a raczej na ścianę ponad łóżkiem, gdyż był tak wielki, jak ściana, a na niej ujrzałam tło Polski. Był zręcznie wyszyty jedwabiem, lecz robił wrażenie malatury.

Obraz przedstawiał kulę ziemską; niziutko ponad Polską unosił się orzeł, trzymany i rozdierany przez trzech mocarzy. Każdy z nich ubrany w barwę swego kraju, stał jedną nogą w swem państwie, a drugą w Polsce. Daleko het, poza morzem, na odznaczeniu Ameryka, stało polskie wojsko gotowe każdej chwili ruszyć z pomocą orłu. Pod tym obrazem był napis: “Rzeczywistość”.

Po niejakej chwili, gdy ochłonełam z wrażenia, jakie obraz ten zrobił na mnie, pani Wanda się odezwała:

— A teraz pokażę pani “Marzenie”.

To mówiąc, przystąpiła do przeciwległej ściany, która była zasłonięta muślinową firanką. Podczas, gdy ją odsuwała, mnie mimowoli przyszło na myśl, że marzenie jak wszędzie; tak

i tu przebywa poza mgłą. Ale to, co zobaczyłam, pochłonęło mnie całą.

Tło obrazu było to samo, co na pierwszym, tylko figury były w innych miejscach. Dręczyciele orła każdy z nich siedział na swojej granicy; jeden z owiązaną nogą, drugi z obandażowaną głową, trzeci bez ręki. Każdy z nich trzymał w garści po kilka piórek wydartych z orła i z niezadowoleniem spoglądał na małą tę zdobycz. Miejsce w Polsce, gdzie poprzednio stali nogą, było zajęte przez polskie wojsko z Ameryki — a ponad nimi wysoko unosił się swobodnie Orzeł Biały.

Serce mi biło, patrząc na ten obraz, a dusza całą mocą wołała: O Wszechmocny, zamień to marzenie na rzeczywistość!

Chwilę stałam jak oczarowana, nadzieje jakieś poczęły się budzić w duszy... a może... może marzenie tej kobiety spełni się kiedy...

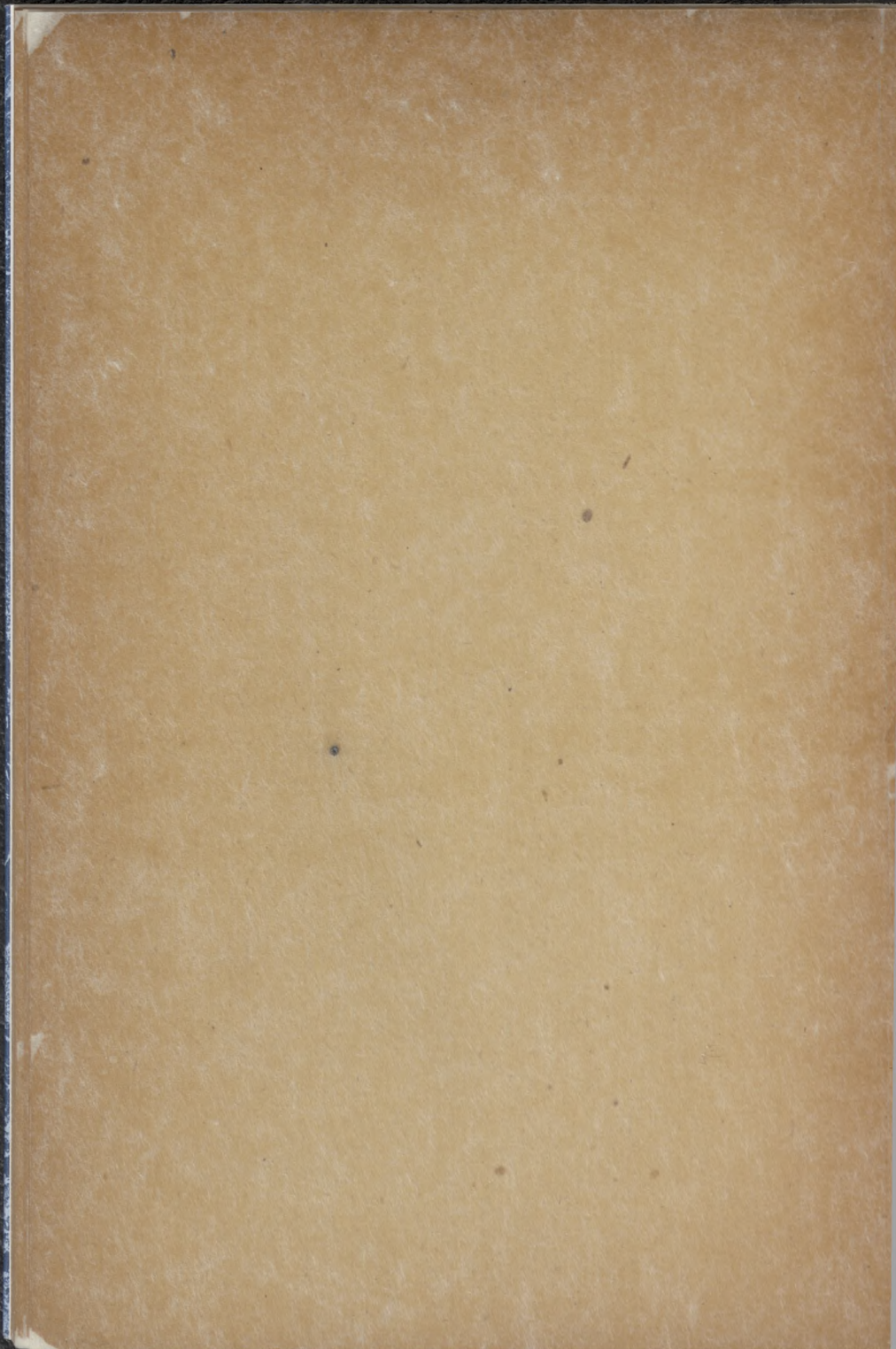
Myśl moja zwróciła się ku niej i znowu nowy obraz stanął w mej wyobraźni. W przygodach jej życia ujrzałam drugie tło Polski — drugą rzeczywistość i marzenie. I Polska, podobnie, jak ona przez nieszczęsną miłość dla moskiewki i różnych spaczonych idei przechodziła różne koleje losu i również podobnie, jak Wanda nawrócona... A na tle tych obrazów odrodzony

duch Polski w Ameryce snuje swe marzenia
przyszłości.

Jak się Wam zdaje, drodzy Czytelnicy —
jest to Marzenie czy Rzeczywistość?...

KONIEC.

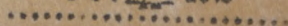




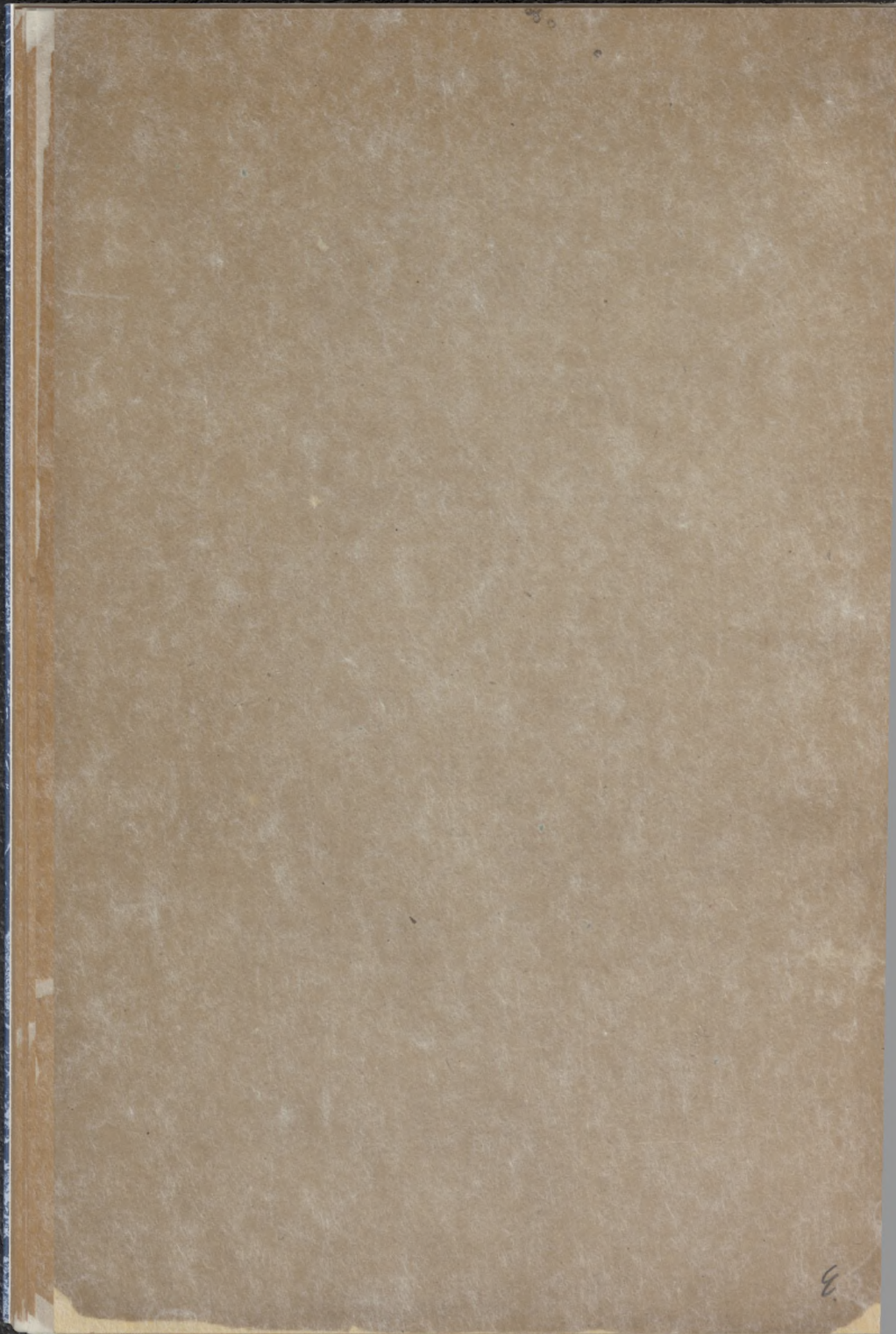
Odkwaszone

1-1-2010

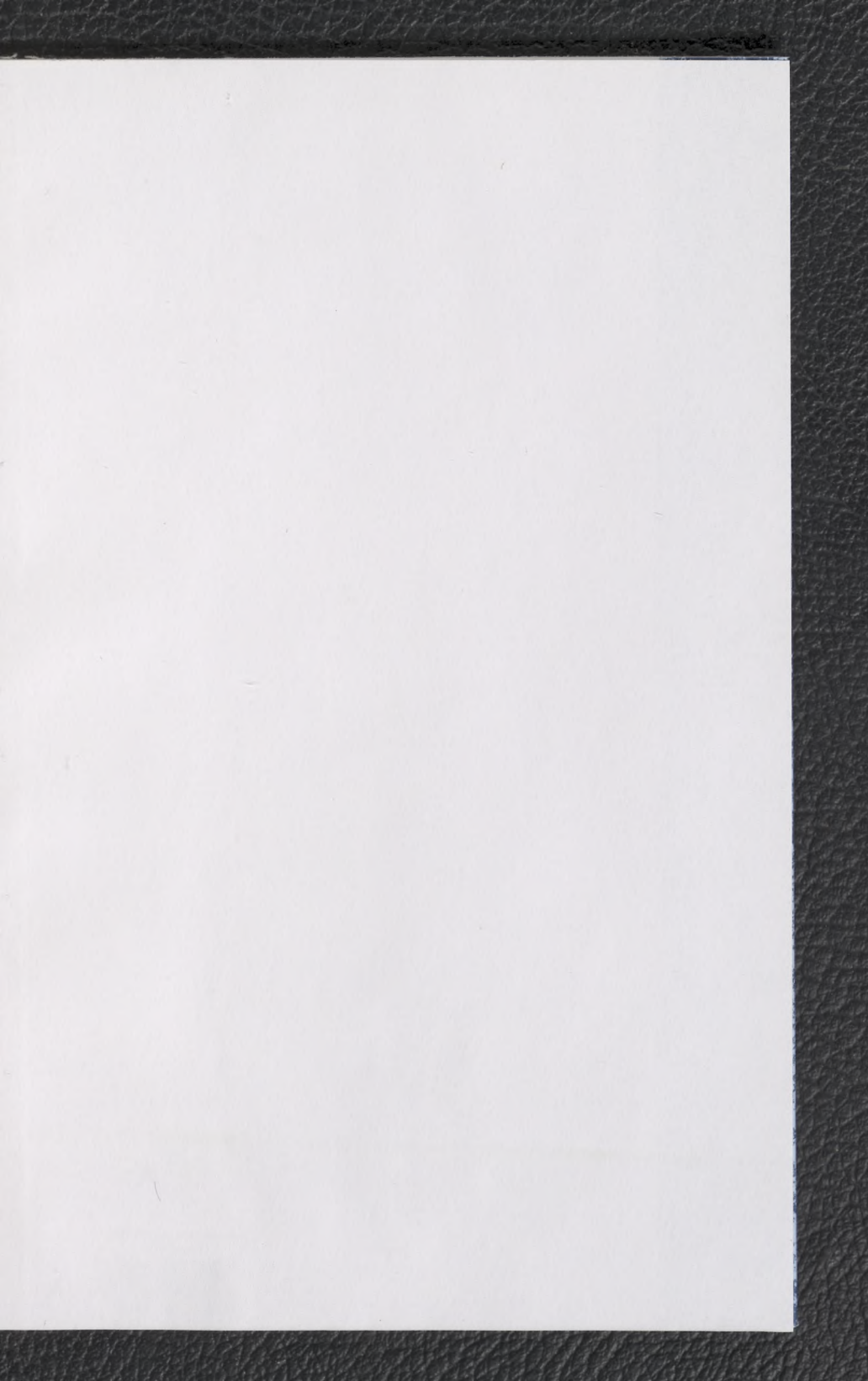
2010

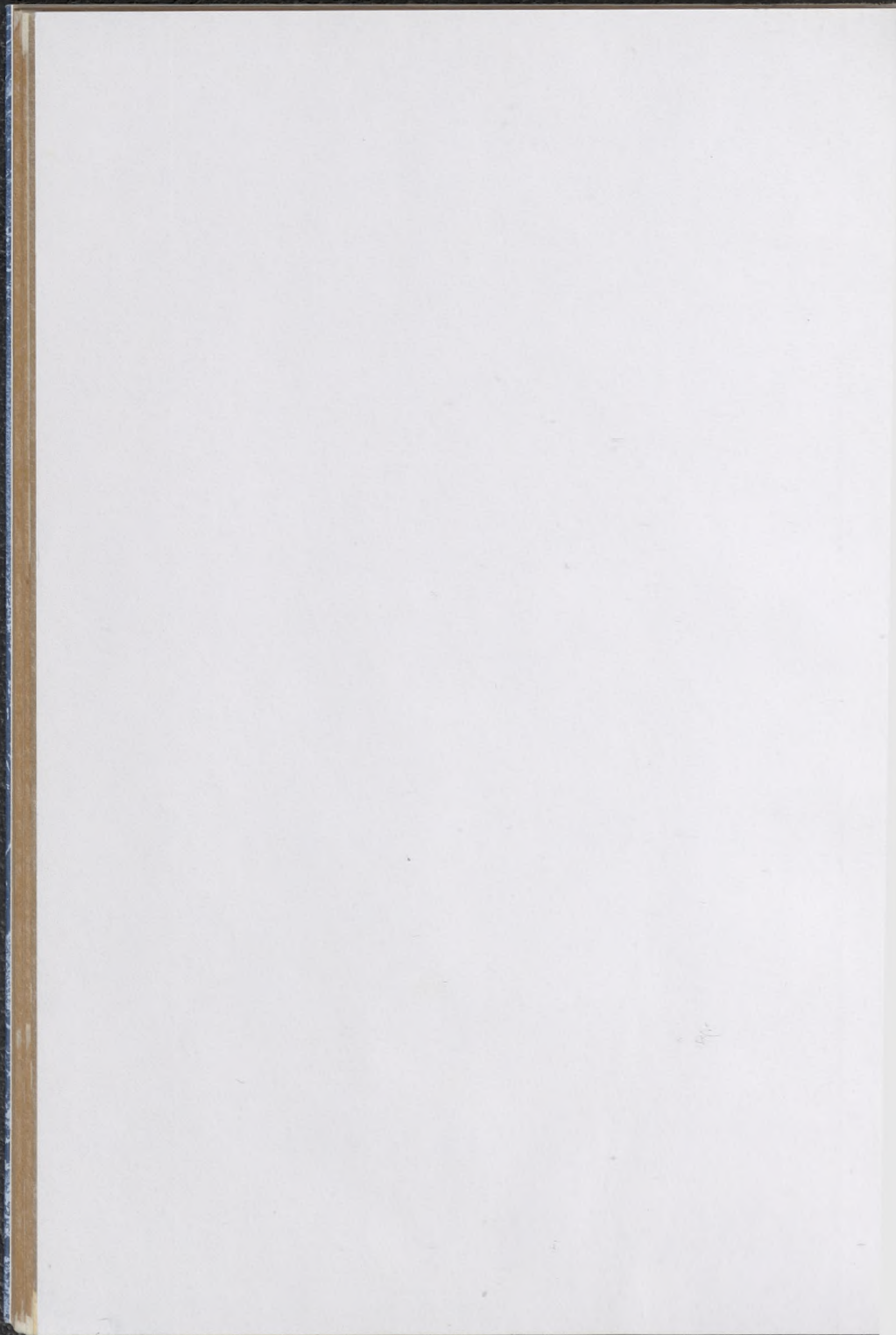


p. 2. Seguthe
N. York, 16. 12. 91.
- 80.000 -



3.

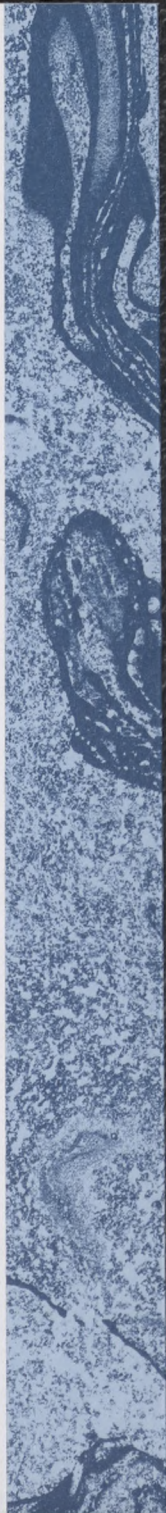




Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001029159862





1514575

Mikrofilm